

Noworocznie

4 stycznia 2019

Skoro spotykamy się w Nowym Roku, Roku Pańskim 2019, oznacza to, że szczęśliwie przeżyliśmy Święta i przetrwaliśmy noc sylwestrową, co samo w sobie już jest sukcesem.



Jeszcze tylko Sześciu Króli i wszystko wróci do normy (pomylił się nieco w obliczeniach daty narodzin Pana Jezusa mnich Dionizy Mały, to i miał prawo pomylić się w liczbie Królów przybywających z darami na rubikoniu nasz Ryszard Petru Wielki).

Ilu by tych królów nie było, chciałem życzyć wszystkim Państwu szczęśliwości w Nowym Roku, umiarkowanych, ale za to dotrzymanych postanowień noworocznych i spełnienia marzeń, zaś władzy warszawsko-belwederskiej wesołej Chanuki, samych cudów purimowych, smacznych uszek hamanowych oraz braku komplikacji po zarówno fizycznej, jak i umysłowej obrzezce i żeby nawet łyśi mogli zapuścić długie pejsy.

Zanim przejdę dalej, ogłoszenie parafialne dla braci od „sola Scriptura”, którzy zaraz poświęcą dwa wpisy i trzy noce udowadnianiu, że króle wcale nie byli świętymi monarchami, a jeno magami, pewnie perskimi. Otóż wiem i prawdę powiedziawszy zdawała sobie z tego sprawę większość dzieci uczęszczających

razem ze mną do naszej wiejskiej szkoły podstawowej, podświadomie rozróżniając między prawdą historyczną a ludowym wyobrażeniem. W tym kontekście chęć użycia „Biblii” w sztywnych, ciężkich okładkach, do rozbijania fajansowych figurek w tradycyjnej szopce uważam co najmniej za uwstecznienie, zwłaszcza w wykonaniu ludzi dorosłych.

Wróćmy jeszcze do postanowień noworocznych – powinny być realne i akceptowalne, zarówno pod wpływem jak i na trzeźwo. Ja na przykład idąc za zeszłorocznym ciosem, zamierzam powtórzyć dietę wg dr Ewy Dąbrowskiej i zrzucić kolejne 10-15 kg (po pełnym poście Daniela zeszłego lata, nie tylko utrzymuję niższą wagę, trochę przybyło, ale wciąż jest 15 kg mniej oraz pozbyłem się wyjątkowo uciążliwej i kłopotliwej łuszczycy na dłoniach, która doprowadzała mnie do rozpacz przez ćwierć wieku! Ile kremów zużyłem był po próżnicy, a po diecie Dąbrowskiej – pupcia niemowlęcia).

Przykład postanowienia nierealnego to zapowiadana przez premiera Morawieckiego chęć re-chrystianizacji Europy – sam najwyraźniej w to nie wierzył, skoro w ramach re-chrystianizacji posłał własne dzieci do żydowskiej szkoły. Rozumiem szkołę z dodatkowym angielskim czy francuskim, ale po co komu w Polsce znajomość hebrajskiego i jidysz... no chyba, że w Polin, a to co innego.

I tym sposobem płynnie przechodzimy do kolejnego tematu. Jak twierdzi red. Michalkiewicz, rok miniony nie był wprawdzie tragiczny, ale był fatalny, ze śmiertelnie niebezpieczną amerykańską ustawą 447. Jej wejście w życie jest dla nas najgroźniejszym wydarzeniem od roku 1939, bo mogącym skutkować żydowską okupacją Polski, która byłaby gorsza nawet od niemieckiej i sowieckiej razem wziętych. Tymczasem zachowanie w tej sprawie władzy warszawsko-belwederskiej świadczy o tym, że rządzi nami „gówniarstwo i swołocz”. Słowem, jak powiedziała w wigilię krowa do Marcina: nie jest dobrze, Marcinie.

Ale wróćmy jeszcze do poświętecznej nirwany a konkretnie do sylwestra, bo był wyjątkowo udany, pomijając nawet radość z opieki nad podrzuconą dziadkom półtoraroczną wnuczką. Kluczem do sukcesu okazał się brak polskiej (oraz angielskiej) telewizji, więc mój i tak kurczący się z wiekiem mózg nie był narażony na „sylwestra z Polsatem”, nerwowo przełączanego na „sylwestra w TVN” z urokliwym niczym żelbetonowy kłoc Filipem Chajzerem, czy sylwestrem w jedynce, żeby czasem nie pominąć występu np. Beaty Kozidrak, niestety wciąż na żywo śpiewającej własne przeboje, czy przepraszam za wyrażenie, Fonsiego, który zapiewając „despacito” sprawia wrażenie, jakby zażył przed występem potrójną dawkę laksigenu, no ale może nie powinienem dyskutować de gustibus.

Red. Michalkiewicz zauważa, że w Polsce dzieci lekarzy zostają najczęściej lekarzami, sędziów sędziami, tajniaków tajniakami, zaś dzieci piosenkarzy piosenkarzami, nawet jeśli mają tylko pierwszy stopień umuzykalnienia, czyli odróżniają, kiedy grają a kiedy nie. O ile zawsze lubiłem Zygmunta Chajzera za jego charyzmę dziennikarską, to syn ma – mówiąc przenośnie – co najwyżej pierwszy stopień umuzykalnienia dziennikarskiego. Inna rzecz, że TVN – jak nam oznajmiła niedawno ambasadoressa Żorżeta – ma w Polsce status eksterytorialny i nie wykluczam, że moja opinia o młodym kłocu godzi w nasz strategiczny sojusz z nowym suwerenem, więc może lepiej będzie, jak zamilknę.

W to miejsce przez okres świąteczny obejrzelismy z żoną całkiem sporo ciekawych filmów na Netflixie, m.in. trzeci już sezon „Ostatniego królestwa” na podstawie powieści Bernarda Cornwella, o dzielnym Uhtredzie z Bebbanburga (dzisiejszy Bamburgh w angielskim hrabstwie Northumberlandii), rozdartym między wciąż pogańskimi wikingami a królem Wesseksu, Alfredem Wielkim i jego chrześcijańskimi, anglosaskimi poddanymi. Serial przykuwający widza, o wybitnych walorach historycznych (o ile tylko oglądamy krytycznie), zdecydowanie wartościowszy od „Gry o tron” a równie ciekawy.

Kolejny serial godny polecenia to dwie pierwsze serie „Korony”

(„The Crown”) z Claire Foy w roli młodej księżniczki, a potem królowej Elżbiety II. Nie mam najlepszego słuchu, ale filmowy „Royal British Accent” odtwórczyni głównej roli wydaje się być w tym serialu lepszy od rzeczywistego.

Często słyszę po prawej stronie opinie, że obecna dynastia Windsorów to nie tylko Sodoma, Gomora i masoneria, ale w dodatku uzurpatorzy. Zapewne to wszystko prawda, ale wszystkie dynastie na Wyspach, przynajmniej od Hastings 1066 to uzurpatorzy, sodomia nie większa, niż wśród książąt kościoła renesansu, a koszty utrzymania mniejsze niż prezydenta belwederskiego; no i nie widziałem, żeby ktoś w oknie pałacu Buckingham palił świece chanukowe czy innego głupa. A że Brytyjczycy zawsze dymają nas od tyłu? Dyma nas każdy, z banderowcami włącznie, tak że dzięki naszym Umiłowanym Przywódcom coraz bardziej przypominamy kobietę, która doświadczywszy gwałtu zbiorowego wypada na ulicę wołając „patrzcie, jakie mam powodzenie!”

No i ostatni serial, którego nie mogę się dość nachwalić to „Marco Polo”. Jest to serial z gatunku fikcji historycznej, ale jak zrobiony! I aktorzy! Benek Wong z Manchesteru urodził się właśnie po to, żeby zagrać w tym filmie chana Kubiłaja (na kurułtaju w Karakorum wygrałby spokojnie z prawdziwym wnukiem Czyngis Chana). Joan Chen grająca jego żonę, Czabi Chatun (ang. Chabi Khatun), również zasługuje na Oskara – rewelacyjna kreacja. Myślę, że ku czci księcia Dżingima (Jingim/Zhenjin to chińskie imię oznaczające „prawdziwe złoto”) będę tak nazywał moja wnuczkę (chyba, że pozostanę przy żywym sreberku). Warto rzecz jasna oglądać krytycznie, raz po raz googlając i sprawdzając kto jest kim. Np. książę Najan nie był katolikiem, tylko nestorianinem i nie miał żadnych związków z papieżem, a tym bardziej nie był z nim w spisku.

Jest też rzecz jasna sporo skądinąd interesującego seksu – myślę, że powinna być dostępna edycja tego filmu „ad usum Delphini”, żeby spokojnie można było obejrzeć ze starszymi dziećmi (nawet jeśli mają rzekomo większe w tych sprawach od

ich rodziców rozeznanie).

Przy okazji: obejrzelismy też dość przyzwoicie zrobiony film, który można od biedy potraktować jako sequel do „Walecznego serca” czyli „Król wyjęty spod prawa” („Outlaw King”, 2018) o szkockim łokietku czyli Robercie de Bruce. Film miał budżet w wysokości 120 mln dolarów, zaś dla porównania, nasza „Bitwa pod Wiedniem” z 2012 roku, w której niemal na śmierć nie zgrał się znakomity F. Murray Abraham... dziesięciokrotnie mniejszy. No i jak potem nie narzekać, że efekty specjalne nie były najwyższej klasy, kiedy taki budżet to ledwo na waciki.

Ofiarował się był niedawno Mel Gibson, że mógłby nakręcić dobry film na kanwie jakiegoś chlubnego wydarzenia z historii Polski (a jesteśmy wszak w lepszej sytuacji niż banderowcy, który co najwyżej mogą zrobić film o zwycięstwie siekierników nad ciężarnymi kobietami z polskiej wioski), ale co z tego, skoro jak stwierdził niedawno brat Gliński „jesteśmy zobowiązani wobec dziedzictwa żydowskiego”, zapomniawszy dodać „przede wszystkim jeśli nie wyłącznie”. No i taka to panie kombinacja].

Sam już nie pamiętam, o czym miał być ten felieton. Tak więc jeszcze raz życząc wszystkim pomyślności w Nowym Roku zalecałbym zapiąć pasy, bo czy tego chcemy czy nie, już niebawem czeka nas niezła jazda bez trzymanki.

Autorstwo: MacGregor

Zdjęcie: [nickgesell](#) (CC0)

Źródło: [NEon24.pl](#)